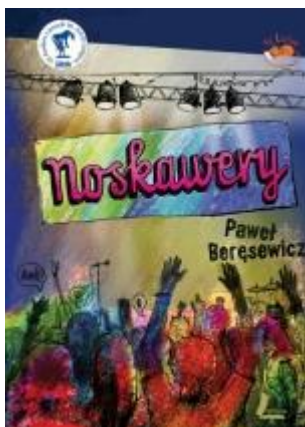




Na Manhattanie była noc. Od strony Broadwayu i Times Square biła łuna bajecznie kolorowych neonów. Łagodna bryza niosła delikatny morski zapach znad nieodległej rzeki Hudson, a w Central Parku śpiewały słowiki. W dwunastopokojowym apartamencie na ostatnim piętrze wieżowca przy Central Park West dawno zgasły już światła, ale Vittorio Benetti nie mógł zasnąć. Wiercąc się niespokojnie, przemierzał swoje rozległe łóżę z zachodu na wschód i z powrotem, a jedwabny kołnierzyk jego liliowej piżamy był wilgotny od potu - kołnierzyk z wyhaftowanym ogoniastym „B” rzecz jasna.

„B” oczywiście było od „Benetti” i od wielu już lat zdobiło każdą kolekcję stworzoną w pracowni Cesarza Mody, jak w poetyckim porywie nazwał go kiedyś jakiś dziennikarz, a jego koledzy po piórze z lubością to podchwycili. Cały świat - a ściślej bogatsza jego część - nosił płaszcze Benettiego, tańczył w sukniach Benettiego, spacerował w jego butach i wycierał nosy w chustki z ogoniastą betką.

A mimo to maestro nie mógł spać - mimo to, a może właśnie dlatego. Ilekroć milkł zgiełk eleganckich przyjęć, ilekroć cichł nieprzerwany szum komplementów, ilekroć gwar nowojorskiej nocy zmieniał się w senny szmer, jakiś głos - łagodny i niepokojący - szeptał mistrzowi do ucha:

- Brawo, Vittorio! Udało ci się życie! Co było do uszycia, uszyłeś. Co było do wymyślenia, wymyśliłeś. Co było do ubrania, ubrałeś. W świetnym stylu dobiegasz do mety.

To tego głosu bał się Vittorio Benetti. Przez niego nie mógł spać. Jak to do mety? - myślał i czuł, że coraz bardziej się poci. Czy naprawdę nie ma już nic do uszycia? Czy rzeczywiście powiedział ostatnie słowo? Przecież każdego dnia w jego olbrzymiej pracowni rodziły się nowe wzory, kroje, kolory, dodatki. Sztab młodych projektantów, zagrzewany do pracy samym spojrzeniem mistrza, wytężał swoje nieprzeciętne talenty, żeby dla ogoniastej betki znaleźć nowe i godne tło.

- Nie oszukujmy się, Vittorio - sęczył mu się do ucha złowieszczy głos. - Co tak naprawdę nowego możesz jeszcze wymyślić? Dłużej czy krócej, czarno czy w kolorach, luźno czy obcisłe - nie ma już miejsca na nowe pomysły. Możesz najwyżej mieszać stare.

Cisnąłby najchętniej w ten głos szklanką albo książką leżącą przy łóżku, ale w wewnętrznych głosach najgorsze jest to, że bardzo trudno w nie trafić. Przewracał się więc tylko z boku na bok, zakrywał głowę poduszką, mruczał sam do siebie stare sycylijskie kołysanki, które kiedyś nuciła mu babcia, i zerkał z nadzieją w okno, czy nie zamierza już świtać. I właśnie wtedy, kiedy łuny Broadwayu zaczynały roztopiać się w szarym brzasku, a wiatr znad Hudsonu przyniósł pierwsze smętne buczenia okrętowych syren, przyszedł sen. Zmęczone nocą ciało Cesarza Mody znieruchomiało w kłębowisku jedwabnej pościeli, a gdzieś wewnątrz głowy, na ekranie zamkniętych powiek, pojawiły się obrazy.

Po czerwonym dywanie wybiegu dostojnie kroczyły długonogie modelki. Musiał to być chyba pokaz jego własnej kolekcji, bo nie mógł opanować zdenerwowania. Dziewczyny ubrane były w spodnie, sweterki i późnojesienne płaszcze. Na nogach miały buty, na dłoniach rękawiczki, na szyjach szaliki, na głowach czapki, na uszach nauszники, na oczach okulary. Nawet ich usta pokryte były grubą warstwą czerwonej szminki. A mimo

to Vittorio Benetti miał dziwne wrażenie, że modelki są jakby nie do końca ubrane. Śmiertelnie przerażony przyglądał im się uważnie, ale poza twarzami nie miały ani skrawka nieosłoniętego ciała. Jedna z nich chyba go zauważyła, bo uśmiechnęła się i radośnie pomachała do niego ręką. Tak radośnie, że przekrzywiły jej się ciemne szerokie okulary. Poprawiła je szybko, a przy okazji lekko podrapała się w...

- Mamma mia! - krzyknął we śnie Vittorio. - Mają gołe nosy! Zapomniałem o nosach!

Zbudził się zlany potem i przez chwilę leżał wpatrzony w malowidła na suficie sypialni. Uspokajał się powoli, w miarę jak docierało do niego, że to był tylko sen. Głupi, bezsensowny i w sumie śmieszny sen.

- Gołe nosy - prychnął i pokręcił głową na wilgotnej poduszce.

Potem nagle twarz mu stężała, a w oczach pojawił się dziwny blask - łuna genialnego pomysłu.

- Czemu wcześniej o tym nie pomyślałem! - zawołał, odrzucając na bok zmiętą kołdrę.

- Sześć miliardów nieubranych nosów! Toż to niewiarygodne marnotrawstwo!

Jak młodzieniaszek wyskoczył z łóżka, podbiegł do okna i otworzył je na oścież. Z lubością wciągnął w płuca świeże poranne powietrze znad Central Parku.

- Wstawaj, ludzkości! - wrzasnął. - Dzisiaj ubiorę wasze nosy!

Odwrócił się od okna i energicznym krokiem podszedł do telefonu.

- Pokrowce na nos? Ty chyba całkiem oszalałeś, Vittorio! - ziewnął do słuchawki Antonio Benetti, młodszy brat słynnego projektanta i jego prawa ręka w modowym imperium. - Ty w ogóle posłuchaj, jak to brzmi! „Pokrowiec na nos”! W życiu nie założyłbym na nos żadnej szmaty. Lepiej zjedz dobre śniadanie i zajmij się letnią kolekcją sukienek.

Zapał Vittoria był jednak o wiele za duży, żeby dało się go ostudzić zwykłym lekceważącym prychnieniem.

- Pomyśl tylko, braciszku! - przekonywał. - Kolekcji sukienek powstaną całe setki, a pokrowców na nos jeszcze nikt nie projektował! Nikt, rozumiesz? Nikt przed Benettim! To będzie rewolucja, Antonio! Miliardy gołych nosów! Toż to prawdziwa żyła złota! A „pokrowiec na nos” to tylko robocza nazwa. Możemy wymyślić jakąś inną. Nosek, nośnik, nanośnik, nanos, noser, noseser, nosonosz, no...

- Hej, Vittorio, Vittorio, poczekaj! - Antonio bezskutecznie próbował przerwać ten potok słów.

- Nosołatka, nosawiczka, nosawelon, nosłonka, nosal, noszal, noszulka, nanośnik...

- Nanośnik już był - burknął ze złością młodszy z Benettich i dopiero to trochę otrzeźwiło Vittoria.

- Był? - zdziwił się. - A czego jeszcze nie było?

- Skarpeta na nos!

- Skarpeta na nos? Myślisz, że to będzie dobra nazwa? - ostrożnie zapytał Vittorio.

- Nie. Myślę, że to będzie idiotyczna nazwa na idiotyczną rzecz! - Antonio był już mocno poirytowany całą tą poranną rozmową.

Jego brat miewał dziwaczne pomysły. Gdyby ich nie miewał, nie byłby Cesarzem Mody. Ale z pokrowcem na nos przeszedł samego siebie i Antonio nie zamierzał traktować tego poważnie. Problem polegał na tym, że jego genialny braciszek najwyraźniej

mocno wbił sobie ten dziecinny kaprys do głowy.

- Zwołaj na dzisiaj zebranie - zarządził. - Punkt jedenasta w sali konferencyjnej. I niech koniecznie sprowadzą Magika.

Wspomniany Magik tak naprawdę nazywał się Paul Cooper, ale jego imię i nazwisko wyszły z użycia już tak dawno, że czasem nawet on sam miewał kłopoty z przypomnieniem ich sobie. W świecie handlowców był tym, kim Vittorio Benetti w świecie projektantów mody. Sam Vittorio twierdził co prawda, że przy tak pięknie zaprojektowanych strojach dyrektorem do spraw marketingu i sprzedaży mogłaby być nawet świnka morska jego najmłodszej wnuczki, ale na wszelki wypadek co miesiąc płacił gigantyczną pensję o wiele lepszemu specjalście. Magik z kolei uważał, że świnka morska mogłaby równie dobrze projektować stroje, które on i tak sprzedabyłby jak ciepłe bułeczki. Pomimo jednak tych drobnych uszczypliwości z obu stron panowie współpracowali ze sobą już od kilkunastu lat i żaden nie zamierzał zmieniać tego stanu rzeczy.

Antonio Benetti rad był nawet z zapowiadzanego zebrania. Jego uparty brat uczepił się tego zwariowanego pomysłu z pokrowcem na nos i tylko opinia Magika mogła go do niego zniechęcić.

O jedenastej w salce konferencyjnej w szklanym wieżowcu Benettiego zebrał się cały zarząd przedsiębiorstwa. Vittorio był w doskonałym humorze. Witał się serdecznie ze wszystkimi, poklepując po plecach mniejszych i większych dyrektorów.

- Ładna koszula - powiedział na przykład do głównego księgowego.

Trudno, żeby nie była ładna, skoro sam ją zaprojektował. Ogoniasta betka widniała również w klapie marynarki wiceprezesa, wyhaftowana była na apaszcze sekretarki, wytłoczona na pasku szefa projektantów i ułożona z brylancików na tarczy zegarka rzeczniczki prasowej.

Wskazówki tego zegarka dawno już doszły do wpół do dwunastej, a w sali konferencyjnej wciąż brakowało dyrektora do spraw marketingu i sprzedaży. Półgodzinne spóźnienie dla każdego innego skończyłoby się boleśnie, ale Magik miał w firmie szczególną pozycję i, chcąc nie chcąc, wszyscy musieli się z tym pogodzić. Zjawiał się zwykle grubo po czasie i z rozkosznym uśmiechem stwierdzał, że prawdziwy artysta zawsze każe na siebie czekać.

Tym razem Vittorio Benetti czekał z wyjątkową niecierpliwością.

- Na pewno mówiłeś mu o zebraniu? - spytał brata.

Antonio uśmiechnął się i powiedział:

- Spokojnie, Vittorio. Mówiłem, że zaczynamy o dziesiątej. Przed dwunastą powinien być.

Za dziesięć dwunasta drzwi salki otworzyły się z hukiem i stanął w nich mały grubawy człowieczek w okrągłych okularach.

- Czekaliście na mnie? - zmartwił się uroczo. - No cóż, prawdziwy artysta... sami wiecie.

Ziewnął niezbyt dyskretnie i podrapał się po skołunionej jasnej czuprynie. Ubrany był w czarne dżinsy i ten sam żółty podkoszulek, który Vittorio pamiętał z kilku poprzednich zebrań. Oczywiście nie było na nim ogoniastej betki. Nigdy jeszcze nie widziano Magika w czymkolwiek od Benettiego. „Ja noszę tylko porządne rzeczy” - żartował i Vittorio musiał udawać, że ma poczucie humoru na swój własny temat.

Paul Cooper nalał sobie kawy do styropianowego kubka, po czym usiadł na swoim miejscu i mruknął bez entuzjazmu:

- No to co dzisiaj mamy?

- Rewelacyjny pomysł Vittoria - powiedział Antonio Benetti i wszyscy obecni wyraźnie wyczuli drwiącą nutę w jego głosie. - Chce szyć skarpety na nos.

Po salce przebiegł chichot, który zamarł nagle, kiedy okazało się, że to wcale nie żart. Cesarz Mody wolno podniósł się z miejsca, potoczył po zgromadzonych płomiennym spojrzeniem i drżącym z podniecenia głosem przedstawił swój projekt. Kiedy skończył, w sali zapadła grobowa cisza i Antonio popatrzył na brata z triumfem. Ich wszystkich będzie musiał posłuchać - pomyślał.

Nagle, zanim ktokolwiek zdążył cokolwiek powiedzieć, w sali rozległo się głośne siorbnięcie, po czym Magik odstawił kubek z kawą i energicznie zaklaskał w dłonie.

- Brawo, Vittorio! - zawołał. - Wreszcie jakiś odważny pomysł.

- Odważny? - jęknął zdumiony Antonio. - A ja myślałem, że idiotyczny.

- Idiotyczny też - przyznał Magik. - Ale to nie ma znaczenia. Nareszcie coś ciekawego! To będzie prawdziwy hit! Sprzedamy tysiące tych nośnych skarpet! Co ja mówię - miliony, miliardy, biliony! - podniecał się coraz bardziej.

- Przecież nikt nie potrzebuje żadnych szmatek na nos! - rozpaczliwie krzyknął Antonio, ale Magik lekceważąco machnął ręką.

- Tym lepiej - powiedział. - Co za sztuka sprzedawać ludziom rzeczy, których potrzebują? Można umrzeć z nudów. Sprzedać coś, co jest zupełnie zbędne - o! To jest zadanie dla prawdziwego artysty.

Spróbujcie wyjść na ulicę i sprzedać komuś na przykład odblaskową farbę do uszu, perfumy o zapachu ogórków kiszonych albo, dajmy na to, płytę z nagraniem dentystycznej wiertarki. A sami kupilibyście coś takiego? Rozumiecie więc chyba, przed jak trudnym zadaniem stanął Paul Cooper, słynny Magik sprzedaży z domu mody Vittoria Benettiego. On jednak wcale nie załamał rąk. Wręcz przeciwnie, zatarł je z radości i rzucił się w wir pracy z trudnym do opisanego entuzjazmem.

Zanim jeszcze pierwsza „szmatka na nos”, jak roboczo nazywał ten pionierski produkt, zeszła z maszyny do szycia, on już miał gotową strategię sprzedaży. „Po pierwsze - mówił - przekonajmy ludzi, że każdy, kto jest cokolwiek wart, albo już ma to coś, albo przynajmniej pragnie to mieć. Po drugie, dostarczymy kilku argumentów na to, że to coś jest do czegoś potrzebne, tak aby każdy przed sobą mógł się tłumaczyć, że kupuje z rozsądku, a nie z bezmyślnej chęci podążania za modą”.

W pierwszej kolejności należało pomyśleć o nazwie, bo trudno sprzedawać coś, na co nawet nie ma słowa. Po burzy mózgów w zespole Benettiego zgodzono się, że ponieważ najlepszy zwykle bywa pierwszy pomysł, najśluszniej będzie zostać przy określeniu „pokrowiec na nos”. Pokrowiec na nos to po angielsku nose cover, co wyjaśnia również, skąd wzięło się nasze polskie słowo noskawer.

Vittorio Benetti zakładał oczywiście, że na każdym noskawerze zaprojektowanym w jego firmie znajdzie się słynna ogoniasta betka - symbol jakości, elegancji i dobrego

smaku. Magik był jednak zdania, że marka Benettiego kojarzy się raczej z ludźmi dojrzałymi i statecznymi, podczas gdy kampanię noskawerów należało skierować do młodej, niespokojnej i kipiącej energią młodzieży. Po głośnej kłótni, podczas której Paul Cooper został dwukrotnie wyrzucony z pracy i dwukrotnie ponownie do niej przyjęty, Cesarz Mody zgodził się niechętnie na stworzenie nowej, młodzieżowej marki opatrzonej prostym logo w postaci charakterystycznego trójkątka. Nazwa Nosox była z kolei ukłonem w stronę Antonia Benettiego. Nose socks to bowiem po angielsku tyle co „skarpety na nos”, a to właśnie Antonio po raz pierwszy użył tego zabawnego określenia.

W firmie Benettiego utworzono specjalną pracownię noskawerów i zespół projektantów zabrał się do pracy nad materiałami, krojami i wzorami. Już po dwóch dniach w gabinecie Vittoria zadzwonił telefon i wielki projektant usłyszał niecierpliwy głos swojego czarodzieja sprzedaży:

- Masz już jakieś? - spytał Magik nawet bez „dzień dobry”.

- Oszalałeś? - obruszył się Vittorio. - Myślisz, że projektowanie mody to takie hopsiup? Wszystko musi być dopracowane co do najmniejszego szczegółu.

- Ale ja nie mam co sprzedawać! - awanturował się Paul Cooper.

- Trudno. Będziesz musiał trochę poczekać.

Magik nagle zmienił taktykę i słodkim głosem powiedział:

- Dobra, Vittorio, nie spiesz się. Na początek wezmę swoją chustkę do nosa, przetnę na pół i poszukam dwóch pierwszych frajerów. Tylko przyślij mi krawca, żeby doszył taśmki.

- Ani mi się waż! - Vittorio przeraził się nie na żarty. - Powiem chłopakom, żeby się pospieszyli. A ty pojedź na dwa dni na narty, jeśli cię energia rozpiera.

- Masz czas do końca tygodnia - warknął na to Magik i Benetti usłyszał trzask rzucanej słuchawki.

Ponieważ nikt do tej pory nie nosił noskawerów i ludzie mogli mieć pewne opory przed zakładaniem czegokolwiek na nosy, należało namówić kilkoro sławnych ludzi, żeby publicznie pojawili się w pokrowcach. Pierwszy telefon w tej sprawie Magik wykonał do Kanady.

- Czy mam przyjemność z Jacksonem Beeverem? - zapytał, kiedy po drugiej stronie przewodu zgłosił się rozmówca.

Okazało się, że nie był to jednak sam słynny piosenkarz, tylko jego agent, ale to nawet ucieszyło Magika, bo agenci gwiazd lepiej rozumieją sprawy, z jaką dzwonił, niż same gwiazdy.

- Mam dla Jacksona świetną propozycję - powiedział. - Vittorio Benetti uszył specjalnie dla niego pewien niezwykle modny dodatek do stroju. Gdyby Jackson zechciał wystąpić w naszym noskawerze podczas najbliższego koncertu w Paryżu, Vittorio byłby zachwycony i z pewnością wyraziłby swą wdzięczność. Noskawery Benettiego są najlepsze na świecie - przekonywał zgodnie zresztą z prawdą.

- Noskawer? A co to takiego? - spytał zaniepokojony menedżer, a kiedy się dowiedział, stwierdził, że to zupełnie wykluczone.

- No trudno - westchnął smutno Magik. - Dobrze, że Brian Morse ma akurat koncert w Londynie. Już się w zasadzie zgodził, ale pomyślałem sobie, że jeszcze zadzwonię do

was, bo uwielbiam piosenki Jacksona.

- Brian Morse się zgodził? - czujnie spytał menedżer i Magik uśmiechnął się do słuchawki, czując przyjemny ciężar rybki na haczyku.

Rozmowa z agentem Briana Morse'a wyglądała bardzo podobnie i tydzień później dwie wielkie gwiazdy muzyki rozrywkowej pojawiły się na estradach z ubranymi nosami. Następnego dnia największe gazety muzyczne w Ameryce i na całym świecie wydrukowały na pierwszych stronach ogromne tytuły w stylu: Co Beever i Morse mieli na nosach? W ten sposób dwa miliardy ludzi po raz pierwszy dowiedziało się o noskawerach, a kilka milionów pomyślało, że może sami też z zakrytymi nosami śpiewaliby jak słowiki.

W kolejnych tygodniach - nie bez delikatnej namowy Paula Coopera - w noskawerze zagrał w meczu z Barceloną gwiazdor Realu Conrado Rinaldo, a na gali rozdania Oskarów co najmniej dwie sławne panie i trzech wybitnych aktorów wystąpiło w ubranych nosach. Nowinką natychmiast zainteresowały się modowe magazyny, a po nich kobiece czasopiśma, plotkarskie gazety, a nawet poważne tytuły prasowe. Czołowy amerykański krytyk mody powiedział w wywiadzie, że ubierając nos, Benetti „uczcił tę lekceważoną dotąd część ciała”. Gwiazdy w innych krajach wykazały się niezwykłą czujnością i zaczęły się publicznie pokazywać w pokrowcach już dwa tygodnie po pierwszej oficjalnej prezentacji w Nowym Jorku. Polska piosenkarka Dida stwierdziła nawet, że nigdy nie czuła się tak świetnie jak wtedy, kiedy po raz pierwszy założyła nosoxa i że trudno jej zrozumieć, jak w ogóle mogła do tej pory żyć z gołym nosem.

Kiedy do biura handlowego firmy Benetti zaczęły przychodzić pierwsze zamówienia z eleganckich butików Paryża, Mediolanu, Moskwy i Londynu, Magik uznał, że czas rozpocząć właściwą kampanię reklamową. W reklamach telewizyjnych na całym świecie pojawiły się piękne modelki z ozdobionymi nosami, a na billboardach, w gazetach i na ulotkach słowo „nosox” odmieniano przez wszystkie przypadki. Charakterystyczne trójkątne logo ze wszystkich stron atakowało wzrok przechodniów, kierowców i pasażerów metra. Bardzo szybko pojawiły się tanie podróbki noskawerów Benettiego, co tylko podkreślało ogromny sukces nowego produktu.

Dzięki szerokim kontaktom Paula Coopera „szmatki na nos”, jak ciągle jeszcze na swój własny użytek nazywał przebojowy wynalazek, zagościły także w literaturze i sztuce - szczególnie tej skierowanej do dzieci. W piątej części *Shreka* na przykład Osioł kupił sobie pokrowiec z wyraźnie widocznym trójkątem, żeby ognisty oddech jego smoczej małżonki nie osmalił mu nosa, a w nowej, pięknie ilustrowanej wersji *Pinokia* pajacyk oduczył się kłamania, bo zabrakło mu pieniędzy na coraz to większe noskawery. Pierwsza kolekcja lalek Barbie z ubranymi nosami pojawiła się już po czterech tygodniach, a firma Lego zaprojektowała specjalny trójkątny element, żeby go przyczepiać klockowym bohaterom. Nieprzypadkowo razem z kampanią reklamową pojawiło się w prasie wiele naukowych komentarzy na temat nowatorskiej części garderoby. Eksperci zwracali uwagę, że noskawery zatrzymują dużą część zanieczyszczeń, chronią skórę przed szkodliwym wpływem promieniowania kosmicznego, pozwalają zaoszczędzić na kosmetykach do pielęgnacji nosa, a także, według pewnej pani psycholog, pomagają dzieciom zwalczyć brzydki zwyczaj dłubania w nosie.

Pod koniec roku fala zachwytów nad rewelacyjnym pomysłem Vittoria Benettiego

ogarnęła właściwie cały świat. Chwalił go nawet sam Święty Mikołaj, który zamiast dźwigać ciężkie kolejki, samochodziki i lalki, musiał tylko poroznosić pięć milionów leciutkich paczuszek z wyjątkowo czaderskimi nosoxami.

Jackson Beever nie znosił noskawerów. Dusił się w nich i pocił. Jego długie złociste włosy bez przerwy zaczepiały się o rzepy w zapięciu z tyłu głowy, a odpłatywanie ich wiązało się najczęściej z bolesnym szarpaniem. Górną klamerkę widziało się kątem obojga oczu i trudno było się powstrzymać od zezowania. Poza tym Jackson lubił swój nos i uważał, że szkoda go zakrywać.

- Nie ma mowy, Bob. W życiu nie włożę tej szmaty - powiedział do swojego agenta, kiedy ten po raz pierwszy przyszedł do niego z propozycją od Vittoria Benettiego.

- Zastanów się, Jackson - powiedział wtedy Bob. - Nikt ci nie każe chodzić w tym na co dzień. Wystarczy, że włożysz to na kilka koncertów. Raz i drugi pokażesz się w telewizji. Dasz się sfotografować i powiesz w wywiadzie parę ciepłych słów na temat tego paskudztwa.

- Ale będę w tym wyglądać jak idiota - obruszył się Jackson Beever. - Sam sobie noś taki worek.

- Gdyby mi Benetti zaproponował pół miliona dolarów, tobym nie takie rzeczy nosił. Niestety, on to proponuje tobie - westchnął z żalem agent.

- Pół miliona? - zainteresował się Jackson. - Tylko na koncertach?

- Tylko - zapewnił Bob. - I jeszcze parę wywiadów.

Podczas pierwszego występu w ubranym nosie Jackson Beever czuł się trochę nie-swojo. Raz po raz sprawdzał, czy noskawer prosto się trzyma i ciągle miał wrażenie, że ludzie na widowni szepczą sobie do ucha złośliwe komentarze pod jego adresem. Kiedy jednak w czasie drugiego koncertu w samym tylko pierwszym rzędzie zauważył kilkoro fanów w nosoxach, od razu poczuł się raźniej i doszedł do wniosku, że jakoś wytrzyma w tej szmacie.

Po którymś z kolejnych występów Jackson Beever udzielił jednej z amerykańskich stacji telewizyjnych wywiadu, który później wielokrotnie cytowała kolorowa prasa na całym świecie.

- Witaj, Jackson, jak się czujesz w tym czymś na nosie? - prowokacyjnie spytał dziennikarz prowadzący program.

- Masz na myśli noskawer? - uśmiechnął się piosenkarz. - Czuję się po prostu cudownie. Nosoxy są czaderskie i w ogóle. Pan Benetti wykonał fantastyczną robotę. Powinieneś spróbować, Bill.

To powiedziawszy, wyciągnął z kieszeni zielonego nosoxa. Dziennikarz przymierzył noskawer, wciągnął nosem powietrze i powiedział:

- Masz rację, Jack, to niesamowite uczucie. Ale... o rety! Cóż to za zapach?

- O ile pamiętam, było ustawione na różę.

- Ustawione na różę? To można sobie ustawić też inne zapachy?

- Oczywiście, Bill. W tym modelu nosoxa jest aż sto różnych zapachów. A do róży po prostu mam słabość.

- „Like a Rose” - domyślnie zanucił dziennikarz, a Jackson uśmiechnął się twierdząco.

- Powiedz mi, Jack, jakie to uczucie, kiedy się tworzy nową modę. Wystarczy, że na jednym koncercie pojawiaasz się z czymś dziwnym na nosie, a następnego dnia pół Nowego Jorku ubiera się w coś takiego.

- Myślę, że to zasługa projektanta, nie moja. Noskawery to genialny pomysł. Są takie przyjemne w dotyku, a jakie wygodne! Człowiek wreszcie czuje się ubrany, i to do tego stylowo ubrany. Odkąd odkryłem noskawery, stałem się bardziej sobą. Mogę teraz skuteczniej wyrazić swoją osobowość. Nie wiem, czy uwierzysz, Bill, ale podobno nawet mój głos nabrał teraz nowego, głębszego brzmienia. Poza tym wiemy wszyscy, jak bardzo zanieczyszczone mamy środowisko. Po co wdychać te wszystkie dymy i fabryczne wyziewy, skoro można przez cały czas cieszyć się zapachem róż?

- A ten ciągły o różach. Romantyk z ciebie, Jack.

- No cóż, Bill, nic na to nie poradzę. Taki już po prostu jestem.

Gdy tylko Jackson Beever znalazł się w limuzynie, która zajęła przed siedzibę stacji telewizyjnej, zdjął ze wstrętem noskawer i cisnął go na podłogę. Przez całą drogę do swego eleganckiego apartamentu robił dziwaczne miny, wykręcając na wszystkie strony i zawzięcie trąc nos, który, jak wyjaśnił swojemu agentowi, „zdrętwiał mu przez tę szmatę”.

Kiedy tuż przed Nowym Rokiem do sali, w której Jackson Beever ćwiczył numery na sylwestrowy koncert, wpadł wyraźnie ożywiony Bob i zawołał: „Koniec z noskawerami!”, młody piosenkarz bynajmniej się nie zmartwił.

- Jak to? - zapytał tylko bardzo zdziwionym tonem.

- A tak to, Jack. Od jutro gramy w lightmanie.

- Rany Julek, w czym znowu? - jęknął przerażony Jackson Beever.

- W lightmanie, Jack. Mówię ci, fantastyczna sprawa. Będziesz zachwycony. Zakładasz to jak kółczyk do nosa i nos ci świeci na różne kolory. Włączasz to i wyłączasz pilotem. Pilotem też ustawiasz jasność, barwę światła, częstotliwość mrugania. Rewelacja, Jack! Rewelacja! Wiesz, jaki to efekt na koncercie daje? Albo na dyskotecę? A jak jedziesz na rowerze, to nie musisz mieć lampki. I czytać w ciemności też można, i morsem nadawać. No po prostu, Jack, ge-nial-ne!

- A co z noskawerem? - mruknął Jackson Beever tonem dalekim od entuzjazmu.

- No proszę cię! Noskawer i lightman? To się nawzajem wyklucza.

- A kasa od Benettiiego?

- Spokojnie, Jack! - Agent serdecznie grzotnął Beevera po plecach. - Stary Bob pilnuje interesu. Ci od lightmana dają jeszcze więcej.

Piosenkarz westchnął ciężko i zrobił nieszczęśliwą minę.

- Ale tak z lampą w nosie? - jęknął. - Jak to będzie wyglądać?

Bob objął go po ojcowsku i przemówił jak do dziecka:

- No co ty, Jack! Nikt ci nie każe chodzić w tym na co dzień. Wystarczy, że włożysz to na kilka koncertów. Raz i drugi pokażesz się w telewizji. Dasz się sfotografować. Zresztą co ja ci będę mówić.

Na ogromnym sylwestrowym koncercie Jacksona Beevera transmitowanym z odpowiednim przesunięciem we wszystkich prawie krajach świata zjawily się tłumy fanów

w karnawałowych kreacjach. Prawie co drugi nos ozdobiony był noskawerem. Luźne, obciste, gładkie, wzorzyste, jednobarwne, kolorowe, prześwitujące, ażurowe - stanowiły niezbity dowód niewyczerpanej fantazji mistrza Benettiego. Jackson Beever rzecz jasna nie śpiewał przez całą noc. Przed nim i po nim występowali inni pomniejsi artyści, ale to jego nazwisko przyciągnęło te tłumy. Tuż przed główną atrakcją wieczoru na sali zgasły wszystkie reflektory. Rozległa się muzyka i przez chwilę grała w zupełnej ciemności. W pewnym momencie błysnęło oślepiająco i na scenie pojawił się snop światła. Snop omiótł publiczność i zaczął rytmicznie podskakiwać. Ludzie zmrużyli oczy i ze zdumieniem stwierdzili, że blask bije ni mniej, ni więcej tylko z nosa Jacksona Beevera! Po chwili światło poczerwieniało, by zaraz zzielenieć i zniebieszczeć. Zaczęło mrugać, pulsować, falować - efekt był piorunujący.

Po ostatnim numerze Jackson wysłał w powietrze kilka całusów i oświadczył publiczności, że jest cudowna, że bardzo ją kocha i życzy wszystkim fantastycznego Nowego Roku. Zanim się pożegnał, znany dziennikarz stojący tuż przy scenie dopadł go z mikrofonem i zapytał dowcipnie:

- Myślę, że wszyscy na sali zadają sobie to samo pytanie: dlaczego tak ci się świeci nos? Zdradzisz nam tę tajemnicę, Jack?

- To żadna tajemnica, Bill - uśmiechnął się Jackson Beever. - To tylko lightman, nowy, świecący kolczyk. Świetna sprawa, powinienesz spróbować.

- A gdzie twój noskawer, Jack? Tak z gołym nosem na koncercie?

- Noskawer? Daj spokój, Bill. Noskawery to obciach. Żaden człowiek, który tak jak ja kocha wolność i zapach życia, nie da sobie zakryć nosa jakąś szmatą.

- Ale przecież sam do niedawna nosiłeś noskawery!

- Chciałem ludziom uświadomić, jakie to głupie, Bill.

- Przecież przed tobą nikt ich nie nosił!

- Przepraszam cię, Bill, ale bardzo się spieszę. Dobranoc wszystkim. Kocham was! Jesteście cudowni! Szczęśliwego Nowego Roku!

Kamera wychwyciła w tłumie mężczyznę, który ukradkiem zdjął swój noskawer i usiłował dyskretnie wepchnąć go do kieszeni. Sądząc po morzu gołych nosów, pozostali zdążyli zrobić to wcześniej.

Paweł Beręsewicz, *Noskawery*, Wydawnictwo Literatura, Łódź 2013, 10-58.